

STEPHEN KING

ZNALAZIONE
NIE
KRADZIONE



1978

– Pobudka, geniuszu.

Rothstein nie chciał się obudzić. Miał zbyt przyjemny sen. Śniła mu się pierwsza żona parę miesięcy przed tym, zanim została jego pierwszą żoną: siedemnastoletnia, idealna od stóp do głów. Naga i lśniąca. Oboje byli nadzy. On miał dziewiętnaście lat i brud za paznokciami, ale jej to nie przeszkadzało, przynajmniej jeszcze wtedy, bo w głowie roilo mu się od marzeń i tylko to ją interesowało. Wierzyła w te marzenia jeszcze mocniej niż on, i miała rację. We śnie śmiała się i chwytала go za tę część ciała, za którą najłatwiej złapać. Chciał się zagłębić w tym śnie, ale jakaś ręka zaczęła go szarpać za ramię i sen przysł jak bańka mydlana.

Nie miał już dziewiętnastu lat i nie mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu w New Jersey. Brakowało mu pół roku do osiemdziesiątych urodzin. Żył na farmie w New Hampshire, gdzie chciał zostać pochowany. W jego sypialni byli jacyś mężczyźni. Mieli na twarzach kominiarki: jeden czerwoną, drugi niebieską, a trzeci kanarkową. Gdy ich zobaczył, próbował uwierzyć, że to kolejny sen – że tamten uroczy zmienił się w koszmar, jak to czasem bywa – wtedy jednak ręka puściła

jego ramię, chwyciła za bark i ściągnęła go na podłogę. Uderzył się w głowę i krzyknął.

– Zamknij się – powiedział ten w żółtej masce. – Może go ogłuszymy?

– Patrzcie, jak dziadkowi sterczy pałka. – Ten w czerwonej wskazał palcem. – Musiał mieć niezły sen.

– To na sikanie – stwierdził ten w niebieskiej, który wcześniej potrząsnął Rothsteinem. – W tym wieku tylko wtedy staje. Mój dziadek...

– Stul pysk – odparł ten w żółtej. – Nikogo nie obchodzi twój dziadek.

Chociaż Rothstein był oszołomiony i wciąż otulony rzedniejącą kotarą snu, wiedział, że ma kłopoty. W jego myślach pojawiło się jedno słowo: napad. Spojrzał z podłogi na trio, które zmateriałizowało się w jego sypialni. Bolała go głowa (z powodu leków przeciwwrzepowych będzie miał wielki siniak na prawej skroni), a serce o niebezpiecznie cienkich ściankach waliło o lewy bok klatki piersiowej. Górowali nad nim trzej mężczyźni w rękawiczkach, ciepłych kraciastych kurtkach i tych strasznych kominiarkach. Włamywacze, a on był tu sam na zadupiu. W promieniu wielu kilometrów ani żywej duszy.

Pozbierał myśli, na ile potrafił, odegnał sen i powiedział sobie, że sytuacja ma jeden plus: skoro nie chcą pokazać twarzy, to nie zamierzają go zabić.

Chyba.

– Panowie – powiedział.

Żółty parsknął śmiechem i wyprostował kciuk.

– Niezły początek, geniuszu.

Rothstein kiwnął głową, jakby to był komplement. Zerknął na zegar przy łóżku, który wskazywał kwadrans po drugiej nad

ranem, a potem znowu spojrzał na Żółtego, chyba szefa tej bandy.

– Mam niewiele pieniędzy, ale chętnie wam je oddam, tylko nie róbcie mi krzywdy.

Powiał wiatr, jesienne liście zaszeleściły, uderzając o zachodnią ścianę domu. Rothstein wiedział, że piec grzeje po raz pierwszy w tym roku. Przecież dopiero co było lato.

– Z tego, co wiemy, masz znacznie więcej niż niewiele. – To mówił Czerwony.

– Cicho. – Żółty wyciągnął rękę do Rothsteina. – Wstawaj, geniuszu.

Rothstein ją chwycił, podniósł się chwiejnie, a potem usiadł na łóżku. Ciężko oddychał, ale był nader świadomy (samoświadomość przez całe życie była zarazem jego przekleństwem i darem), jak wygląda: stary człowiek w luźnej niebieskiej piżamie, który zamiast włosów ma już tylko białe chmurki popcornu za uszami. Tyle zostało z pisarza, który w tym samym roku, kiedy Kennedy został prezydentem, trafił na okładkę „Time’a”: JOHN ROTHSTEIN, GENIALNY SAMOTNIK AMERYKI.

Pobudka, geniuszu.

– Odsapnij sobie – powiedział Żółty. Z jego głosu przebijała troska, ale Rothstein w nią nie wierzył. – A potem pójdziemy do salonu, gdzie prowadzą dyskusje normalni ludzie. Nie śpiesz się. Otrzeźwiej.

Rothstein odetchnął powoli, głęboko, i serce trochę mu się uspokoiło. Usiłował pomyśleć o Peggy, o jej piersiach jak filiżanki do herbaty (małych, lecz idealnych), o jej długich, gładkich nogach, ale sen już zniknął, tak samo jak Peggy, która teraz była starą raszpłą i mieszkała w Paryżu. Za jego pieniądze.

Przynajmniej Yolande, jego drugie podejście do małżeńskiej szczęśliwości, umarła, więc przestała brać alimenty.

Czerwony wyszedł z pokoju i wkrótce Rothstein usłyszał, jak przetrząsa mu gabinet. Coś upadło. Szuflady otwierały się i zamykały.

– Już ci lepiej? – zapytał Żółty, a kiedy Rothstein kiwnął głową, dodał: – No to chodźmy.

Rothstein pozwolił zaprowadzić się do niewielkiego salonu. Po jego lewej ręce szedł Niebieski, a po prawej Żółty. Przeszukiwanie gabinetu trwało. Wkrótce Czerwony otworzył szafę, odsunął na bok dwie marynarki oraz trzy swetry i odsłonił sejf. To nieuniknione.

W porządku. Byleby zostawili notesy, ale po co mieliby je brać? Takich łobuzów interesują tylko pieniądze. Pewnie nawet nie potrafią czytać nic trudniejszego niż listy do redakcji w „Penthousie”.

Tylko że Rothstein nie miał pewności co do tego w żółtej masce. Ten brzmiał jak ktoś wykształcony.

W salonie paliły się wszystkie światła, a zasłony nie były zaciągnięte. Sąsiedzi, którzy akurat nie spali, zastanawialiby się, co się dzieje w domu starego pisarza... gdyby miał sąsiadów. Najbliżsi mieszkali trzy kilometry stąd, przy głównej szosie. Rothstein nie miał przyjaciół, nikt go nie odwiedzał. Akwizytorów posyłał do diabła. Był po prostu takim dziwnym staruszką. Pisarzem na emeryturze. Pustelnikiem. Płacił podatki i nikt go nie nachodził.

Żółty i Niebieski doprowadzili go do fotela naprzeciwko rzadko włączanego telewizora; Rothstein nie usiadł od razu, więc Niebieski pchnął go na siedzenie.

– Spokojnie! – rzucił ostro Żółty i Niebieski cofnął się, coś tam mamrocząc. Czyli rzeczywiście to Żółty tu rządził. To on

był przywódcą stada. Pochylił się nad Rothsteinem, oparł dłonie na nogawkach sztruksów. – Chcesz coś sobie chlapnąć na uspokojenie?

– Jeśli chodzi o alkohol, to nie piję od dwudziestu lat. Zalecenie lekarza.

– Brawo. Chodzisz na mityngi?

– Nie byłem alkoholikiem – odparł Rothstein rozzłoszczony. Chyba zwariował, że wścieka się w takiej sytuacji... A może wcale nie? Kto to wie, jak należy reagować, kiedy faceci w kolorowych kominiarkach wyciągną cię z łóżka w środku nocy? Zastanawiał się, jak skonstruowałby taką scenę, i nie miał pojęcia. Nie pisywał o takich sytuacjach. – Ludzie od razu zakładają, że w dwudziestym wieku każdy biały pisarz na pewno jest alkoholikiem.

– No dobrze, dobrze – powiedział Żółty, jakby uspokajał naburmuszone dziecko. – Wody?

– Nie, dziękuję. Chcę, żebyście sobie poszli, więc będę z wami szczery. – Rothstein zastanawiał się, czy Żółty zna najbardziej podstawową zasadę społecznej interakcji: kiedy ktoś mówi, że będzie szczery, to zwykle znaczy, że zacznie kłamać szybciej, niż koń galopuje. – Mój portfel leży na komodzie w sypialni. Jest w nim osiemdziesiąt parę dolarów. Na kominku stoi czajnik z ceramiki... – Wskazał palcem. Niebieski się obrócił, ale Żółty nie. Żółty nadal przyglądał się Rothsteinowi, a jego spojrzenie zza maski było niemal rozbawione. Nie działa, pomyślał Rothstein, lecz się nie poddawał. Teraz, gdy już się rozbudził, nie tylko się bał, ale był wkurzony, chociaż wiedział, że lepiej tego nie okazywać. – Tam trzymam pieniądze na życie. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt dolarów. To wszystko, co jest w domu. Bierzcie i idźcie sobie.

– Pieprzony kłamco – odparł Niebieski. – Masz dużo więcej forsy, koleś. Wiemy o tym, możesz nam wierzyć.

Jakby to było przedstawienie teatralne, a powyższa kwestia była sygnałem, Czerwony zawołał z gabinetu:

– Bingo! Znalazłem sejf! I to duży!

Rothstein wiedział, że mężczyzna w czerwonej masce go odnajdzie, ale i tak zakłuło go serce. To głupota trzymać pieniądze w domu, nie miał na to wytłumaczenia oprócz niechęci do kart kredytowych, czeków, akcji i instrumentów finansowych, wszystkich tych kuszących łańcuchów, które przykuwają ludzi do przytłaczającej i ostatecznie niszczyielskiej amerykańskiej maszyny długów i wydatków. Ale teraz ta gotówka mogła się okazać jego zbawieniem. Gotówkę można odtworzyć. Ponad stu pięćdziesięciu notesów – nie.

– A teraz szyfr – powiedział Niebieski. Pstryknął palcami w rękawiczkach. – Dawaj.

Rothstein z wściekłości był niemal gotów się postawić – zdaniem Yolande gniew stanowił przez całe życie jego pozycję wyjściową („Pewnie nawet w cholernej kołysce”, powiedziała kiedyś) – ale jednocześnie był zmęczony i przestraszony. Gdyby się wzbraniał, wyciągnęliby z niego ten szyfr przemocą. Może nawet znowu dostałby zawału, tym razem niemal z pewnością śmiertelnego.

– Czy jeśli dam wam kod do sejfu, to weźmiecie pieniądze i pójdziecie?

– Panie Rothstein – odparł Żółty z życzliwością, która wydawała się szczerą (a przez to groteskowa) – w pana sytuacji nie ma miejsca na targi. Freddy, idź po torby.

Rothstein poczuł powiew chłodnego powietrza, kiedy Niebieski, znany również jako Freddy, wyszedł przez drzwi kuchenne.

Tymczasem Żółty znowu się uśmiechał. Rothstein zdążył znie-
nawidzić ten uśmiech. Te czerwone wargi.

– No dalej, geniuszu, gadaj. Im szybciej zaczniemy, tym
szybciej będzie z głowy.

Rothstein westchnął, a potem wyrecytował kombinację do
sejfu Gardall w gabinecie:

– Dwa obroty w lewo do trzydziestu jeden, dwa obroty
w prawo do trójki, jeden obrót w lewo do osiemnastu, jeden
obrot w prawo do dziewięćdziesięciu dziewięciu, a potem
z powrotem do zera.

Czerwone usta pod maską rozchyliły się szerzej, ukazując
zęby.

– Mogłem się domyślić. Twoja data urodzin.

Kiedy Żółty głośno przekazał szyfr mężczyźnie w gabinecie,
Rothstein doszedł do pewnego nieprzyjemnego wniosku. Nie-
bieski z Czerwonym przyszedł tu po forszę, a Żółty pewnie też
dostanie swój udział, ale to raczej nie pieniądze były głównym
celem mężczyzny, który wciąż mówił do niego „geniuszu”.
Jakby dla podkreślenia tej konkluzji, wrócił Niebieski w towa-
rzystwie kolejnego chłodnego powiewu z dworu. Miał ze sobą
cztery worki marynarskie, po dwa na każdym ramieniu.

– Posłuchaj. – Rothstein spojrzał Żółtemu w oczy i nie
pozwolił odwrócić wzroku. – Nie rób tego. Oprócz pieniędzy
w tym sejfie nie ma nic, co warto zabrać. Reszta to tylko czeza
bazgranina, ale dla mnie jest ważna.

Z gabinetu dobiegł krzyk Czerwonego:

– Rany Julek, Morrie! Rozbiliśmy bank! Kurka wodna, tu jest
kupa forsy! I to w kopertach prosto z banku! Jest ich kilkadziesiąt!

Co najmniej sześćdziesiąt, mógłby dodać Rothstein, a może
nawet osiemdziesiąt. A w każdej po czterysta dolarów. Od

Arnolda Abla, mojego księgowego z Nowego Jorku. Jeannie spienięża czeki i przywozi koperty z gotówką, a ja chowam je w sejfie. Tylko że mam niewiele wydatków, bo najważniejsze rachunki również płaci Arnold w Nowym Jorku. Od czasu do czasu daję napiwek Jeannie, a na Boże Narodzenie listonoszowi, ale poza tym rzadko wydaję forszę. Jest tak od lat. A dlaczego? Arnold nigdy nie pyta, co robię z pieniędzmi. Może myśli, że mam układ z panienką na telefon albo i dwiema. Może myśli, że gram na kucykach w Rockingham.

A teraz najśmieszniejsze, mógłby powiedzieć do Żółtego (znanego również jako Morrie), sam też nigdy siebie o to nie pytałem. Ani o to, dlaczego zapełniam notes za notesem. Z pewnymi rzeczami tak po prostu jest.

Rothstein mógłby to wszystko powiedzieć, ale milczał. Nie dlatego, że Żółty by tego nie rozumiał, ale przeciwnie – bo te jego uśmiechnięte czerwone usta podpowiadały, że owszem.

I że nic by go to nie obchodziło.

– Co tam jeszcze jest? – zawołał Żółty. Nie spuszczał wzroku z Rothsteina. – Pudełka? Pudełka z rękopisami? Takiej wielkości, jak mówiłem?

– Nie pudełka. Notesy! – odkrzyknął Czerwony. – Ten pieprzony sejf jest ich pełen.

Żółty uśmiechnął się, wciąż patrząc w oczy Rothsteina.

– Z odręcznym pismem? W ten sposób to robisz, geniuszu?

– Proszę – powiedział Rothstein. – Zostawcie je. Tego materiału nikt nie powinien oglądać. Jeszcze nie jest gotowy.

– I tak sobie myślę, że nigdy nie będzie. Ty tylko chomikujesz. – Ów błysk w oku, błysk, w którym Rothstein widział coś irlandzkiego, teraz już znikł. – Bo nic już nie musisz wydawać, no nie? Nie goni cię konieczność finansowa. Do-

stajesz tantiemy za *Uciekiniera*. I za *Uciekinier staje do walki*. I za *Uciekinier zwalnia*. Słynna trylogia Jimmy’ego Golda. Stale wznawiana. Wciąż na akademickich listach lektur w całym naszym pięknym kraju. Paru wykładowców, co ciebie i Saula Bellowa mają za ósmy cud świata, załatwiła ci posłuszną publiczność studenciaków. Więc jesteś ustawiony, co? Po co ryzykować wydanie książki, która mogłaby nadzarpnąć tę twoją cudowną reputację? Lepiej się tu chować i udawać, że świat nie istnieje. – Żółty pokręcił głową. – Mój drogi, przy tobie słowo „asekurantwo” nabiera nowego znaczenia.

Niebieski wciąż stał w progu.

– Co mam robić, Morrie?

– Idź do Curtisa. Spakujcie całość. Jeśli wszystkie notesy nie zmieszczą się do worków, to się rozejrzyjcie. Nawet taki odludek jak on musi mieć co najmniej jedną walizkę. Nie marnujcie czasu na liczenie pieniędzy. Chcę się stąd zmyć jak najszybciej.

– Dobra.

Niebieski – Freddy – wyszedł.

– Nie rób tego – powiedział Rothstein i przeraził się drżeniem własnego głosu. Czasami zapominał, jaki jest stary, ale nie dziś. O nie, dziś nie.

Mężczyzna o imieniu Morrie nachylił się ku niemu. Z otworów żółtej maski patrzyły zielonkawoszare oczy.

– Chcę się czegoś dowiedzieć. Jeśli będziesz szczery, to może zostawimy notesy. Będziesz ze mną szczery, geniuszu?

– Spróbuję – odparł Rothstein. – I ja nigdy tak o sobie nie mówiłem. To „Time” nazwał mnie geniuszem.

– Ale sprostowania pewnie też nie wysłałeś.

Rothstein milczał. Ty sukinsynu, pomyślał. Ty pieprzony mądralo. Nic mi nie zostawisz, prawda? I nie ma znaczenia, co ci powiem.

– Jedno mnie interesuje: dlaczego, na Boga, nie mogłeś zostawić Jimmy’ego Golda w spokoju? Dlaczego musiałeś pograć go w szambie?

To pytanie było tak niespodziewane, że w pierwszej chwili Rothstein nie miał pojęcia, o czym Morrie mówi, mimo że Jimmy Gold to jego najśłynniejszy bohater, dzięki któremu ludzie będą go pamiętać (jeśli w ogóle będzie za coś pamiętany). W tym samym artykule w „Time”, w którym okrzyknięto go geniuszem, nazwano Jimmy’ego Golda „amerykańską ikoną rozpacz w krainie dostatku”. W gruncie rzeczy pieprzenie, ale nakręcało sprzedaż książek.

– Jeśli uważasz, że powinienem był poprzestać na *Uciekinierze*, to nie jesteś jedyny.

Ale nie ma was wielu, mógłby dodać. *Uciekinier staje do walki* umocniło pozycję Rothsteina jako ważnego amerykańskiego pisarza, a *Uciekinier zwalnia* było ukoronowaniem jego kariery. Krytyka włąziła mu w dupę, książka nie schodziła z listy bestsellerów „New York Timesa” przez sześćdziesiąt dwa tygodnie. No i dostał za nią National Book Award, tyle że nie przyszedł jej odebrać. „*Iliada* powojennej Ameryki” – tak napisano w uzasadnieniu nagrody i nie chodziło tylko o ostatni tom, ale o trylogię jako całość.

– Nie mówię, że powinienem był skończyć na *Uciekinierze* – odparł Morrie. – *Uciekinier staje do walki* był równie dobry, może nawet lepszy. Te książki były prawdziwe. Ale ta ostatnia? Rany, co za szajs! Robota w reklamie? Serio, w reklamie?

Żółty zrobił coś, od czego Rothsteina ścisnęło w gardle, a jego żołądek zrobił się ciężki jak z ołowiu: powoli, niemal

z czułością ściągnął żółtą kominiarkę, odsłaniając twarz młodego mężczyzny o urodzie bostońskiego Irlandczyka: rude włosy, zielonkawę oczy, blada cera, na której zamiast opalenizny zawsze będą oparzenia. No i te dziwne czerwone usta.

– Dom na przedmieściach? Ford sedan na podjeździe? Żona i dwójka dzieciaków? Każdy się w końcu sprzedaje, to chciałeś powiedzieć? Każdy zje truciznę?

– W notesach...

Rothstein chciał powiedzieć, że w notesach są jeszcze dwie powieści o Jimmym Goldzie, które dopełniają cykl. W pierwszej Jimmy dostrzega nijakość swego podmiejskiego życia, więc zostawia rodzinę, pracę i wygodny dom w Connecticut. Odchodzi pieszo, bierze tylko chlebak i ubranie, które ma na sobie. Staje się starszą wersją tego chłopaka, który rzucił szkołę, odwrócił się od materialistycznej rodziny i po weekendzie pijaństwa w Nowym Jorku postanowił wstąpić do wojska.

– Co w notesach? – zapytał Morrie. – No, geniuszu, wypłuj to z siebie. Powiedz, dlaczego musiałeś go powalić na ziemię, wleźć mu na głowę i wytarzać mu twarz w błocie?

W *Uciekinier jedzie na zachód* Jimmy Gold znowu staje się sobą, chciał powiedzieć Rothstein. Kwintesencją siebie. Tylko że Żółty pokazał mu swoją twarz, a teraz wyjmował pistolet z prawej kieszeni kraciastej kurtki. Wydawał się zasmucony.

– Stworzyłeś jednego z najwspanialszych bohaterów literatury amerykańskiej, a potem go obsrałeś – powiedział Morrie. – Ktoś, kto jest do tego zdolny, nie zasługuje, żeby żyć.

Gniew zawrzał w Rothsteinie jak miła niespodzianka.

– Jeśli tak uważasz, to znaczy, że nie zrozumiałeś z tych książek ani słowa.

Morrie wycelował pistolet. Wylot lufy był czarnym okiem.

W odpowiedzi Rothstein wymierzył w niego swój poskręcany artretyzmem palec, jakby również miał broń. Poczł satysfakcję, kiedy Morrie mrugnął i nieco się wzdrygnął.

– Nie wciskaj mi tu swojej durnej krytyki literackiej. Dość już się tego nasłuchałem, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. Ile ty w ogóle masz lat? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia trzy? Co ty wiesz o życiu, nie wspominając o literaturze?

– Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że nie każdy się sprzedaje. – Rothstein ze zdumieniem dostrzegł łzy w tych irlandzkich oczach. – Nie praw mi kazań o życiu, skoro od dwudziestu lat kryjesz się przed światem jak szczur.

Ta stara krytyka – „jak śmiesz odchodzić od Stolika Sław?” – sprawiła, że złość Rothsteina rozgorzała pełnią gniewu, takiego gniewu z rzucaniem szklankami i rozbijaniem mebli, który rozpoznałyby Peggy i Yolande – i bardzo się z tego cieszył. Lepiej umrzeć we wściekłości, niż kuląc się i błagając o litość.

– W jaki sposób spieniężysz moją twórczość? Zastanawiałeś się nad tym? Zakładał, że tak. I na pewno rozumiesz, że równie dobrze mógłbyś próbować sprzedać skradziony notatnik Hemingwaya albo obraz Picassa. Ale twoi koledzy nie są tacy wykształceni, prawda? Poznają to po tym, jak mówią. Czy wiedzą to, co ty? Na pewno nie. Ale ty wcisnąłeś im czek bez pokrycia. Obiecałeś im gruszki na wierzbie i powiedziałeś, że wszyscy się nimi najedzą. Myślę, że jesteś do tego zdolny. Myślę, że masz do dyspozycji całe jezioro słów. Ale, moim zdaniem, to płytkie jezioro.

– Zamknij się. Gadasz jak moja matka.

– Jesteś pospolitym złodziejem, kolego. I do tego głupim, bo kradniesz coś, czego nie można sprzedać.

– Zamknij się, geniuszu. Ostrzegam cię.